Rozmaitości

Dnia 28. Września Nr 39. 1839 Roku.

TRĄD I ZIOŁO CUICHUNCULLI.

(Z gazety *des Tribunaux.*)

Z końcem roku 1833, Don Pablo Heredia w Manili, postrzegł piérwsze znaki trędu na swojém ciele. Ta straszliwa, nieuleczona choroba, którą przez nieustającą troskliwość z Europy prawie już wygnano, sroży się jeszcze po dziś dzień w całéj okropności w innych częściach świata, a mieszkańcy Ameryki i Azyi zawsze jeszcze są narażeni na straszliwe jéj spustoszenia. Biada nieszczęśliwemu, którego ta zaraza dotknie; nié masz dla niego nadziei do odzyskania zdrowia; wszelkie środki lékarskie nie mogą téj okropnéj pustoszycielce położyć tamy; najprzód zaczynają nogi, a potém inne części ciała puchnąć i nabrzmiéwać; skórę pokrywają krosty i obrzydliwe wrzody; wszystkie członki przejmuje ból nieznośny; chory przez otrętwienie błonek na końcach palców, nie czuje przedmiotów, i utraca zmysł dotykania; nieustanne świérzbienie ani mu snu ani spoczynku użyć nie dozwala; z przegniłych palców u ręki odpada jeden członek po drugim, i podczas gdy ten sam los inne części ciała spotyka, schodzi chory najdłuższą i najokropniejszą śmiercią ze świata. Będąc przedmiotem obrzydzenia staje się oraz przedmiotem strachu; każdy unika go i stroni przed nim, albowiem choroba jego przez dotknięcie się udziela.

Żadne badania wyświécić nie mogły, ażali choroba ta, sama przez się u Don Pabla powstała; a gdy nad tém lékarze głowę łamali, *elefantiazys* wzmagała się z wielkim pośpiechem. Rodzice i przyjaciele jego pogrążeni byli w największym smutku, gdyż młodzieniec ten od wszystkich był kochany; uprzejmy i otwarty dla swoich towarzyszy, obchodził się łagodnie i spaniałomyślnie z swoimi niewolnikami. Ojciec jego Don Karlo Heredia, jeden z najbogatszych kupców kompanii indyjskiéj, wezwał wszystkich europejskich, chińskich i malajskich, najbieglejszych lékarzy, którzy na wyspach filipińskich się znajdowali. Niektórzy z nich podejmowali się przedłużyć cierpienia nieszczęśliwego, ale żaden nie przyrzekał, iż go całkiem uléczy. Don Karlo postanowił więc zasiągnąć rady od pogańskich Indyjan, zamieszkałych na wyspie Luzon; gdyż dzicy ludzie posiadają dotychczas przeciw téj zarazie jakoweś lékarstwa, które dla utrzymania na pozór przewagi w sztuce lékarskiéj, przed Europejczykami troskliwie ukrywają. Wiadomo powszechnie, iż użyto podstępu dla dowiedzenia się od nich o użyciu lékarstwa *Palo de calenturas*, czyli tak zwanéj chiny, która w słabościach gorączkowych tak zbawienne skutki wywiéra. Jeszcze dotychczas tają oni roślinę mającą własność léczenia trędu. Jestto bez wątpienia ta sama, którą mieszkańcy nowéj Grenady *Cuichunculli* zowią, a którą zawsze jeszcze przed ciekawymi Europejczykami ukrywać się starają.

Don Heredia puścił się przeto w podróż dla zwidzenia trzydziestu prowincyj, z których wielkorządstwo wysp Filipińskich się składa. Wiadomo, iż ludność na wyspie Luzon podzielona jest na różne kasty. Wybrzeża zamieszkało 8,000 Chińczyków i 30 tysięcy Mestizów, którzy ze zlewku Chińczyków, Malajów i Europejczyków powstali.

Biali stanowiący najważniejszą część ludności, nie przechodzą ilości sześciu tysięcy, i mieszkają wszyscy w Manili, stołeczném mieście, będącém oraz siedzibą rządu. Tu ma swoję rezydencyję najwyższy rządca, *Audienza royale*, nadzorca i wyżsi urzędnicy. Reszta ludności składa się z plemienników wyspy i jest, równie jak piérwiastkowa część ludności, zacząwszy od Borneo i Timoru, z oceańskiéj rasy Murzynów. Mieszkańcy ci opuściwszy już od dawnych czasów wybrzeża, pomknęli się w głąb wyspy. Są oni jeszcze dotychczas bałwochwalcy i zowią się Negrilami czyli Higorotami. Jakkolwiek bardzo liczni, gdyż ludność wysp Filipińskich prawie półczwarta milijona mieszkańców wynosi, są jednak spokojni i żyją bardzo skromnie. Jedna tylko wyspa Jolo i połowa wyspy Mindanao, uznające machometańskich Indyjan za swoich przełożonych, nie podlégają monarchii hiszpańskiéj. Każda prowincyja ma gubernatora, Korregidora, Alkadę-Majora, który w osobie swéj jednoczy administracyjną i sądowniczą zwiérzchność pierwszéj instancyi, składa najwyższy sąd wojenny i wybiéraniem królewskich podatków się zajmuje. Każda indyjska włość ma osobnego *gubernadorcillo* czyli niższéj klasy gubernatora. — Mieszkańcy indyjscy dzielą się na Berangajów. Jeden Berangaj składa się z czterdziestu do pięćdziesięciu rodzin, których naczelnik *Cabeza de barangay* się zowie. Ten wybiéra podatki i czuwa nad utrzymaniem porządku. Niektóre z tych posad są dziedziczne, inne zaś obieralne. Gdy takowa posada opróżnioną zostanie, wtedy gubernadorcillo razem z najstarszymi kabezasami składającymi jego radę, z pośród wielu spółzawodników wybiéra trzech, z których jeneralny gubernator jednego potwierdzić musi.

Don Karlo, który dla ocalenia syna swego nawet na największe niebezpieczeństwo postanowił narazić życie swoje, wsiadł na słonia i w towarzystwie sześciu wiernych niewolników puścił się w drogę. Higorotowie, do których się najpierwéj w téj mierze udał, powiedzieli mu jednozgodnie, że na całéj wyspie nie znajduje się żaden taki człowiek, jak tylko jeden Lampa-Anzar (lékarz, czarownik), który sposób wyléczenia trędu posiada. Byłto stary naczelnik Barangaju, nazwiskiem Mara-Maz czyli ogniste oko. Po kilku-dniowym pochodzie odkrył Don Heredia pośród gór ukryte siedlisko jego. Prosił go długo o przywrócenie zdrowia synowi swemu, i długo niechciał Lampa-Anzar przychylić się do jego prośby. — »Nie jesteś wyznawcą mojéj wiary«, rzekł do Hiszpana: »i dla tego nie mogę ci pomódz w téj mierze. Duch Zanaara, który udzielił mi sposobu przywrócenia zdrowia tym, których przeznaczenie nawidziło trędami, ukarałby mnie za to, gdybym tajemnémi jego środkami léczył wyznawców innéj wiary. Nie wątpię, że wasz Bóg jest potężnym, udajże się do niego; Zanaar jest zawistnym duchem, zléwa on łaskę tylko na swoje dzieci, i niezawodnie dopuściłby na mnie nieszczęście, gdybym się do twéj prośby przychylił.« Nieszczęśliwy ojciec spędził kilka dni w nadaremném usiłowaniu nakłonienia starego Higorota; wszelkie dary, wszelkie przedstawienia spełzły bez skutku. Ale Don Karlo nie ustąpił, i rzuciwszy się na kolana, zaczął przed nim rzewliwie płakać, aż nareszcie strumienie łez, które ojciec ronił nad nieszczęściem swojego syna, zmiękczyły uporczywość starego Higorota. »Dobrze więc«, rzekł Mara-Maz, »pójdę z tobą i uleczę twojego syna; jestem wprawdzie przekonany, że mnie za to czeka nieszczęście, ale zniosę je, byle tylko duch Zanaara mnie samego ukarał; bo ty jesteś poczciwym białym i kochasz swego syna jak kokosz swe pisklęta.« Dodał przytém, iż przez cały dzień szukać będzie zioła, którego mu do uléczenia téj choroby potrzeba.

Poszedł w góry bez towarzysza i dopiéro z nadchodzącą nocą przybył z powrotem. Przyniosłszy na ramieniu pęk roślin, roztarł je z pośpiechem tak drobno, że rodzaju ich poznać nie było można; poczém wycisnął z nich sok do bańki, a z pozostałych części ugniótł pewien rodzaj ciasta i przechował je z troskliwością. Po upływie dni kilku, od czasu jak Indyjanin zaczął léczyć chorobą złożonego Pabla, zaczął tenże widocznie przychodzić do zdrowia,

puchlina z nóg zeszła, trędy z skóry zniknęły, a po kilku tygodniach widać było jeszcze tylko ślady choroby. W przeciągu trzech miesięcy został zupełnie wyléczonym, a Mara-Maz wrócił do swego siedliska w góry. Z wszystkich rzeczy, które mu familija Heredyi w podarunku dawała, przyjął tylko sześć postawów błękitnego kartonu, strzelbę, ołów, proch i worek ryżu. Nadaremnie nalégał nań wyléczony Don Pablo, aby przy nim pozostał, albo przyjął znaczną nagrodę. Indyjanin oświadczył, iż nie może rozłączyć się z swémi górami. »Bądźcie zdrowi i szczęśliwi«, rzekł żegnając się z Hiszpanami, »co do mnie, wiém niezawodnie, że duch Zaraana nigdy mnie tego nie przebaczy.«

W kilka dni po tém rozłączeniu, rozeszła się po wyspie pogłoska, że Mara-Mazę zabito, i ciało jego strasznie pokaléczone znaleziono. Sprawiedliwość nie wiedziała z początku na kogo zwrócić swe podejrzenie. Nadaremnie szukano powodu do téj zbrodni, i gubiono się w różnych domysłach, aż nakoniec pojawił się Higorotczyk, który zdawał się miéć poszlakę o winowajcy. »W chwili,« rzecze, »gdyśmy chińskim przemytnikom mak dawali w Manili, pracowałem na jedném z owych pól zasianych makiem (*amapolas blancas*), który główną część naszego handlu stanowi, i postrzegłem, iż koło chaty naczelnika Barangaju, przeszedł jakiś biały z dwoma malajskimi majtkami. Biały człowiek w naszych górach jest tak rzadkiém zjawieniem, iż mnie widok ten zdziwił. Nie wiém, ażali to było przywidzeniem, lecz chód tych cudzoziemców zdawał się mi być podejrzanym. Widziałem, iż dawali wielką baczność, i oglądali się na wszystkie strony, jak gdyby dla zabezpieczenia się, czy ich kto nie postrzegł. Przyczaiłem się pod krzakiem cytrynowym, i niespuszczając ich z oka, postrzegłem jak weszli do domu Lampy Anzar. Ukryty w zasadzce, czatowałem aż dopokąd nie wyjdą. Lecz noc zapadła, a oni jeszcze nie wyszli z chaty. Niepokojony złowrogiém przeczuciem, udałem się do mojego szałaszu, lecz nie mógłem znaleźć spoczynku. Co chwila zdawało się mi, iż słyszę głos czarnoksięzkiego ptaka *Wu-run-dul*, który wrzaskiem swoim śmierć zapowiada. — Nazajutrz dowiedziałem się, że Mara-Mazę zabito. Milczałem aż do dnia dzisiejszego, ponieważ wiedziałem, jak niebezpieczną jest rzeczą ściągnąć na siebie nienawiść białych. Lecz cień Mara-Mazy nie dałby mi spokoju, gdybym się nie przyłożył do pomszczenia się śmierci jego. Przypatrzyłem się dokładnie białemu, który wszedł do jego chaty, zatrzymał on się raz przedemną niemal na czterdzieści kroków, i przy spotkaniu, jestem pewien, iżbym go poznał.«

Don Pablo i ojciec jego życzący sobie odkryć zabójcę nieszczęśliwego Mara-Mazy, przywołali do siebie potajemnie Higorotczyka, i przyrzekli mu wielką nagrodę, jeżeli się do wyjawienia zbrodni przyczyni. A gdy Ofohu — tak się zwał ten Indyjanin — okazał z tego względu swoje obawę, przyrzekli mu, że go będą bronić przeciw temu, którego on o zabójstwo obwini, jakikolwiek wyrok sprawiedliwości wypadnie. Higorotczyk przychylił się do ich żądania. Lecz aby nie wzbudził podejrzenia i mógł przejrzéć wszystkie okolice przez Europejczyków zamieszkałe, i zwidzić całą ich ludność, przybrał na siebie liberyję Don Pabla, i chodził za nim we wszystkie publiczne miejsca, na które się lud zgromadzał; uczęszczał z nim do kościoła, do portu gdy nowy okręt zawinął, i na rynek, gdzie kupcy swe sprawy odbywali. Przez niejaki czas wszelkie poszukiwania były bezowocne, i już myślano, iż zbrodni téj dokonali majtkowie obcego statku, który odpłynął do Europy, gdy pewnego razu familiję Heredia zaproszono na ucztę, którą naczelny gubernator wyprawiał. Ofohu razem z drugimi niewolnikami, którzy lektykę nieśli, został się przy wnijściu do palacu. Aż oto nagle zadrzawszy na całém ciele rzekł: iż postrzegł wchodzącego do palacu zabójcę. Natychmiast zawiadomił o tém Don Pabla i z pomiędzy zaproszonych gości opisał mu dokładnie tego, którego winowajcą być mniemał. Dodał przytém, iż zabójcę poznał zupełnie, i że tak mocno wbił sobie w pamięć jego rysy, iż w téj mierze bynajmniéj się nie myli.

Osobą, którą Indyjanin opisał był Don Benito Galdijano mający lat dwadzieścia i ośm. Potomek pewnéj ubogiéj familii, rodem z Aquilar *de la Frontera,* w prowincyi Korduby; uczył on się sztuki lékarskiéj w Kadyksie, gdzie zostawszy doktorem, udał się na wyspy Filipińskie w celu wyszukania dla siebie szczęścia, którego w starym świecie znaleźć nie mógł. Doktor ten od samego początku choroby Don Pabla chodził około niego z największą troskliwością, a gdy przyszedł Mara-Maz i podjął się wyléczyć Don Pabla z choroby, którą on uznał za nieuléczoną, doktor uważał z największą niespokojnością, jakie postępy to léczenie na Don Pablu czyniło. Był on obecny całéj kuracyi i starał się wszelkiémi sposobami odgadnąć lékarstwo; ale nie zdołał dociec rośliny, z któréj było sporządzone. Jednakże nikt nie mógł się spodziéwać, aby zawiść, że go Indyjanin w lékarskiéj sztuce przewyższył, do zabójstwa go pobudzić mogła. Był on w ogóle skromnego i łagodnego charakteru, nie dał nigdy po sobie poznać żadnéj innéj namiętności, jak tylko samę ciekawość i nieograniczone przywiązanie do swego kunsztu. Obawiano się przeto dać wiarę słowom Indyjanina; lecz ten obstawał z taką usilnością i przekonaniem przy swojém oskarzeniu, iż Alkada Major kazał doktora uwięzić i proces mu wytoczyć.

Don Benito ujrzawszy Alguazylów, którzy go schwytać przyszli, zmieszał się i wyrzekł: »Jestem zgubiony!« Jednakże pomimo to, długo wypiérał się przed sędzią, i nie chciał przyznać się do zabójstwa, o które był obwiniony. Lecz przekonany dowodami, iż w chwili, w któréj Mara-Mazę zabito, oddalił się był z Manili, i ściéśniony ważnémi okolicznościami, które przeciw niemu mówiły, a może też i skruszony głosem sumienia, skłonił się do zeznania.

»Przyznajesz więc,« rzekł Alkada, »żeś się udał do domu Mara-Mazy?« Obżałowany: »Przyznaję, żem się udał do jego domu, ale nie w tym celu, aby go zabić.« Alkada: »Jakiż miałeś w tym zamiar?... sądzę, iż zamiar ten, nie bardzo był życzliwym, gdyż towarzyszyło ci dwóch uzbrojonych majtków malajskich?« Obżałowany: »Zamiar mój z każdego względu był bardzo życzliwym: chciałem przymusić Mara-Mazę do odkrycia mi swéj tajemnicy, a to nawet użyciem przemocy, jeżeliby dobrocią tego dokazać nie było można.« Alkada: »Czy w zamiarze skłonienia go do odkrycia tajemnicy zadałeś mu śmierć tak okrutnym sposobem?« Obżałowany: »Zacząłem od tego, iż mu przyrzekałem jak największą nagrodę, nawet znaczniejszą kwotę, niżeli posiadać mógłem, jeżeli mi to dobroczynne zioło pokaże. Mara-Maz odpowiedział, iż nigdy białemu tajemnicy swojéj nie wyda. Użyłem wszelkiéj wymowy, starałem się wyświécić mu, iż okrucieństwem jest patrzyć na swoich braci umiérających na tak straszliwą chorobę, podczas gdy jedno słowo z jego ust wyrzeczone, z tego nięszczęścia ocalić ich może. Mara-Maz odrzekł, że jak biali ludzie, tak i ci, którzy nie czczą ducha Zanaara nie są bynajmniéj jego bracmi, i że oni do swego Boga udawać się powinni. Starałem się skłonić go obietnicami, przyrzekałem mu bogactwa i honory. Lecz on odrzekł, że honorami pogardza, a żadnych innych bogactw sobie nie życzy, jak tylko od wichrów ochronnéj strzechy, i spokojnego snu, aby głowę swoję bez zgryzoty sumienia mógł położyć na poduszce z czerwonego mchu, (który dzicy ludzie *lana de polo* nazywają.« Alkada: »Wszystko to jeszcze nie było dostatecznym powodem do zadania mu śmierci.« Obżałowany: »Zacząłem mu grozić, ale on odrzekł, że już wtedy, gdy białemu człowiekowi wyświadczył przysługę, był na wszelką karę i niewdzięczność przygotowany, że już naprzód zrzekł się z tego względu wszelkiéj nagrody. Na te słowa, rozpaczą uniesiony za pomocą Malajczyków, którzy mi towarzyszyli, związałem go i zacząłem mu z nóg i z najdotkliwszych części ciała małe paski wyrzynać; spodziéwając się, iż dla zakończenia swéj męczarni odkryje przedemną tajemnicę, ale na nieszczęście, on wszystko zniósł z największą cierpliwością i przymusił mnie do krajania nowych pasów z jego ciała.« Alkada: »Jakżeś mógł się na takie okrucieństwo odważyć?« Obżałowany: »Czyniłem to dla dobra całéj ludzkości. Lecz nie

mógłem na nim wymódz najmniejszéj skargi; nareszcie boleść pozbawiła go wszelkiéj przytomności umysłu.« Alkada: »Poczém zabiłeś go z bojaźni, aby cię nie oskarzył, i aby na tobie nie odwetowano tych męczarń, jakiémi się nad nim pastwiłeś, a przeto, dla utajenia piérwszéj zbrodni, drugą jeszcze większą popełniłeś.« Obżałowany: »Bogu dzięki, że myśl takowa w duszy mojéj nie powstała. Zamiarem moim było przywołać Mara-Mazę do życia, i łagodnością zniewolić go do wyznania tajemnicy. Lecz Małajczykowie byli tego przekonania, że on jest wielkim czarownikiem i że mszcząc się swojéj męczarni, sprowadzi na nich chorobę i nieszczęście, i z tego powodu pomimo zakazu mego śmierć mu zadali, poczém wsiadłszy na korsarski okręt swego narodu, odpłynęli.« Alkada: »A więc w ten sposób wynagrodziłeś dzikich ludzi za to, że nas chiny i moxy używać nauczyli?« Na te słowa rzekł obżałowany z uniesieniem: »Moxy!... o mój Boże, dla czegoż o tém zapomniałem, byłbym mu pod każdy paznogieć podłożył moxę*) a taby go była koniecznie zmusiła do wydania mi swéj tajemnicy; gdyż ból takowy nie jest do wytrzymania; jakież dobrodziejstwo byłbym przezto dla ludzkości wyświadczył!«

Po takowém zeznaniu trudno było dla Don Benity zjednać łaskę sprawiedliwości; przeto *Audienza royale* skazała go na szubienicę. Jednakże gubernator wysp Filipińskich, tak ze względu na dawniejsze jego przykładne zachowanie się i dobrowolne zeznanie, jak i przez uwagę na politowania godny, obłędny kierunek jego umysłu, zmienił wyrok ten na dziesięcio-letnie wygnanie do Prezydyjum w La Gomery.

SZEŚĆ PTAKÓW z MARTYNIKI.

Józefina była najpowabniejszą z Kreolek, miała wszystkie przymioty téj ognistéj rasy: wdzięk, łagodność, tkliwy, dziecinny umysł, dobroć i wesołość ocienioną zarysem smutku; ale nie zbywało jéj także na lubych, małych przywarach: niewinna lekkomyślność, ruchliwa zmienność humoru, łatwe przepomnienie tego, co minęło, zamiłowanie się w obecności, niedbałość o los przyszły; ujmująca niewiadomość, i fantastyczne życzenia, byłyto zjednoczone promienie w sercu téj pięknéj, cnotliwéj kobiéty.

Wszystkie Kreolki robią długi, a Józefina była w tym względzie z duszą i z ciałem Kreolką.

Jedną z piérwszych powinności małżonka, bądź on jest kupcem, konzulem, królem albo cesarzem, jest zaspokojenie długów swojéj żony. Bo dlaczegożby innego miał się nazywać mężem?

Bonaparte pojmując dokładnie stan małżeński, nie mógł zapoznać owego słodkiego i poezyjnego dwóch dusz związku, który wymaga: aby dla pokonania cierpień i wierzycieli tego życia obopólnemi pracować siłami.

Chmurzył się on czasem na to, ale zawsze płacił.

Jednego dnia wyliczył on swojéj małżonce dwanaście tysięcy franków, aby niémi zaspokoiła modniarki, szwaczki, kupców handlujących kwiatami i perfumami. W rachunkach tych była wyszczególniona należytość: tysiąc pięćset franków za same śpilki, a dwanaście set franków za pomadę, a to jako na niezbędny użytek w przeciągu tylko jednego kwartału.

Liweranci artykułów tych czekali w przedpokoju na skutek negocyjacyi, która się z małżonkiem w tym względzie już była rozpoczęła.

W téj saméj chwili przychodzi jakiś człowiek i prosi o łaskę mówienia z Józefiną.

—»Czegoż on żąda?« zapytała Józefina.

—»Żąda,« odrzekła pokojowa »złożyć u nóg twoich pani hołd swój i klatkę z ptakami. A jeżeli to być nie może, zrzekłby się nareszcie złożenia hołdu, byle tylko klatka tego zaszczytu dostąpić mogła. Jest ona z białego drutu i zamyka w sobie sześć rzadkich, bardzo rzadkich ptaków, które on umyślnie i prosto z Martyniki dla ciebie pani przywiózł.«

—»Jako? ptaki z Martyniki! Moi ziom-

*) Mech bylicy, który powiększéj części przeciw gośćcowi i podagrze się używa.

kowie! Ach to pięknie!« rzekła Józefina. »Muszę je kupić, i to natychmiast!«

— »Cena,« ozwała się pokojowa, »zdaje się mi być przesadzoną, a zwłaszcza w czasach rzeczypospolitéj francuzkiéj.«

— »Ileż on żąda?«

— »Razem z klatką dwanaście tysięcy franków. A to podobno jest za drogo.«

— »Bynajmniéj!« przerwała jéj mowę Józefina, którahy w pierwszéj chwili za kilka rybek złotych pływających w słoiku, była nawet swój przyszły tron oddała. »Dwanaście tysięcy franków, wszak to jest niczém, a zwłaszcza jeźli klatkę w dodatku daje. Na wyspie Martynice nie podobna za tańsze pieniądze dosta ptaków. A zatém każ mu wyliczyć dwanaście tysięcy franków.«

Po niejakiéj chwili wróciła pokojowa do salonu i przyniosła sześć ptaków, z których każdy dwa tysiące franków kosztował. Józefina ujrzawszy je, zaczęła klaskać w ręce, skakać z radości, a nareszcie rozpłakała się śród tkliwych wspomnień, jakie te ptaki w niéj obudziły.

— »Tak, tak, są to ptaki z wyspy Martyniki, mojéj ukochanéj ojczyzny! ach, jakże one są piękne! Piękne jak moja ojczyzna!«

Jakoż ptaki te były warte takiego uniesienia; były one wprawdzie małego kształtu, ale bardzo ozdobnie wyposażone; piórka ich urozmaicone były najpiękniejszémi kolorami; jedne z nich miały złote dzióbki, złote nóżki i złote końce u skrzydeł; drugie były w najdziwniejszy sposób nacieniowane.

— »Zapomniałam powiedzieć,« rzekła pokojowa, »iż ten człowiek wyraźnie zalecił, aby tym ptakom ani kropli wody nie dawać; gdyż one nie piją nigdy, i mają wstręt od wody.«

— »Prawda, zapomniałam,« odrzekła Józefina, żaden ptak na wyspie Martynice nie pije wody; przypominam sobie to bardzo dobrze.«

— »Człowiek ten zalecił także,« rzekła daléj pokojowa, »aby go natychmiast uwiadomić, jeźliby który z ptaków piórko, ozdobę, albo jakikolwiek delikatny kolor utracił. Będzie to znakiem, że ptak jest słaby, a przedawca uleczyć go potrafi.«

— »Prawda, kuracyja ptaków w Martynice, jest na wysokim stopniu!« odezwała się Józefina.

— »Z tego powodu dał mi swój napis: mieszka on przy ulicy wróbléj,« rzekła pokojowa.

— »Jestto jakiś poczciwy i zacny człowiek,« odrzekła Józefina. »Powiedz mu, iż zawsze miło mi będzie, gdy się zdołam odwdzięczyć za radość, którą mi dzisiaj sprawił. Zapewnij go o mojéj łasce. Dowiedz się o zdrowiu jego żony i dzieci, i poszlij im niektóre małe podarunki: sukienki, chusteczki, koronki i cukierki.«

Przez dwa dni, które po téj scenie upłynęły, zatrzymały ptaki swoje świetne kolory. Nie wyszły one z pokoju Józefiny, która pieszcząc się z niémi pochlebnemi słowami, nie mogła się im dość nadziwić. Rozrywka ta sprawiła, iż zapomniała o wszystkiém innćm, a nawet o swojéj toalecie. Trzeciego dnia nakoniec z powodu przyjęcia znakomitych osób, wyniesiono ptaki do odległego gabinetu. Wygnanie to stało się przyczyną ich zguby. W pięć minut po oddaleniu ich, płocha rodaczka, zatrudniona oglądaniem pięknych brausoletek, zapomniawszy o swoich ziomkach, poruczyła je staraniu prostéj dziéwczyny.

Dziéwczyna ta niedostatecznie była obeznaną z dyjetetycznémi przepisami, które względem ptaków z wyspy Martyniki zachować było potrzeba. Postrzegła ona, iż zwiérzątka te zwiesiwszy skrzydełka, i roztworzywszy dzióbki, żałośnie piszczéć zaczęły. Sądząc, że są spragnione, postawiła im czém prędzéj w klatkę wielką filiżankę z wodą. Zaledwo ptaki to postrzegły, natychmiast rzuciły się z taką żądzą do wody, z jaką się rzucają dzikie kaczęta, które długo w suchém miejscu trzymano. Lecz o dziwo! skoro opłukały milutkie skrzydełka, natychmiast rozeszły się po wodzie żółte, niebieskie, zielone i czerwone kolory, i zaczęły po niéj pływać złote piórka. Ptaki zaś utraciwszy z dzióbków i nóżek pozłotę, odzyskały znowu dawną rzeźwość i wesołość. Piórka ich stawały się coraz bardziéj szarémi, pstrokatemi, co ornitologii na wyspie Martynice nie największy zaszczyt przyniosło.

Biedna dziéwczyna przerażona tak niesłychanym wypadkiem, okropnie skrzyknęła; wszczął się rozruch powszechny; przybieżono w pomoc; posłano po przedawcę; ale go już nigdzie znaleźć nie było można. Józefina, aby nie zasępiać wzroku swego widokiem swoich nieszczęsnych ziomków, rozkazała wypuścić je w ogród Tuilijeryjów, gdzie też wmiészawszy się pomiędzy mieszkańców wysokich drzew kasztanowych, jako dawni znajomi, wesoło z niémi szczebiotać zaczęły.

— »Tyś temu winna,« rzekła Józefina do pokojowéj; »powinnaś była wiedzieć, iż z tak rzadkiémi ptakami, jakiémi są ptaki z Martyniki, nie tym sposobem obchodzić się należy!«

Na te słowa obecni zaledwo od śmiéchu wstrzymać się mogli. Każdy myślił sobie w duszy: »Wszakto są wróble, które wodnemi farbami pomalowano!« Jednakże żaden z obecnych téj bolesnéj prawdy małżonce piérwszego konzula oświadczyć się nie ważył.

ZE LWOWA.

W tych dniach opuściło drukarnię dziełko Władysława księcia Lubartowicza Sanguszki: *O chowie koni.* Lwów drukiem Piotra Pillera 1839 (we Lwowie, Tarnowie i Stanisławowie u Jana Milikowskiego) w 8ce str. 53. Autor obznajomiony praktycznie z tym przedmiotem, ile posiadający stada pięknych koni, zamierzył sobie wypadki własnych doświadczeń udzielić dla powszechnego użytku. Dziełko jego wykłada głównie sposób hodowania pięknych i dzielnych koni, wybór ogiera, dobór jego do kobyły i wychowanie źrebiąt. Te trzy zamierzone przedmioty wyłożone tu jasno i gruntownie. Byłoby wielce pożądaném, aby za przykładem tego szanownego ziomka, pokazało się więcéj podobnych ksiąg w tym przedmiocie, który jak jest jeden z najbardziéj nasz kraj interesujących, tak też nazbyt mało tknięty polskiém piórem. Wydanie na welinowym papiérze, ozdobione na karcie napisowéj stosowną drzeworyciną rylca Antoniego Tepplara. Życzyćby należało, aby pismo to nie tylko sami znawcy, miłośnicy koni i posiadacze stad, ale wszyscy gospodarze w swém ręku mieli; więcéj bowiem z tego acz krótkiego dziełka nabędą wiadomości w tym przedmiocie, niżeli z najobszerniejszego z zagranicznych pism pospolicie układanego dzieła, a niezastósowanego do naszego kraju.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego Ad. Kasperowskiego wyszedł Ner. 39. i obejmuje: 1) O przechowywaniu buraków. 2) O przechowywaniu owoców (ciąg dalszy). 3) O przechowywaniu owoców w jamach. 4) O suszeniu owoców. 5) Dalszy ciąg sposobu tuczenia bydła roszczoném zbożem. 6) Koszta roszczenia. 7) Mylne sądzenie o aparacie z wygrzéwaczem »Rościszewskiego.« 8) Powidła z owoców ziarnkowych.

Z Warszawy. Autor szacownego *Słownika* p. Samuel Bogumił Linde, pracuje nad słownikiem porównawczym na wielką skalę narzeczy polskiego i ruskiego.—P. Maciejowskiego *Historyją prawodawstw sławiańskich*, jak dawniéj na język rossyjski, tak teraz na francuzki przełożono, i przekład ten wykonany pod okiem autora, wyjść ma niebawem w Paryżu. — Od d. 1go października wychodzić zacznie pod redakcyją S. Lasockiego pismo poświęcone zabawie, pod tytułem: *Humorysta warszawski.*

Znany z dzieł filozoficznych w języku niemieckim p. Trentowski, wykłada w uniwersytecie Frejburga (w Bryzgawii) filozoficzną encyklopedyję nauk, logikę i historyję filozofii.

Z Petersburga. Ustanowiona przy ministerstwie oświecenia Komisyja Archeograficzna (pisze »Tygodnik Petersburski«) czynnie posuwa i rozszerza swoje prace. Dla naszych czytelników nieobojętną zapewne będzie wiadomość, że się w niéj gotuje »Zbiór aktów tyczących się dziejów Zachodniéj Rossyi.« Głównym do tego materyjałem jest metryka Litewska będąca tu przy senacie. Redaktor zbioru Protojerej Hryhorowicz zajmuje się jéj rozpatrzeniem. Z protokołu posiedzeń Komissyi ciągle ogłaszanego w Dzienniku Ministerstwa Oświecenia, dowiadujemy się, że p. Daniłowicz, profesor uniwersytetu Kijowskiego (a teraz Moskiewskiego), oświadczył gotowość do zajęcia się wydaniem Ruskiego Litewskiego Statutu 1529 r.

Nowy sposób przewozu. W Paryżu przemyślają nad wynalezieniem tańszego sposobu przewozu, niż za pomocą kolei żelaznéj. I tak pewien urzędnik maryunarki w Breście, wymyślił w téj mierze następującą machinę, którą *veloposte* nazwał. Składa się ona z drucianego łańcucha, który zacząwszy od punktu, z którego się wyjeżdża, według potrzeby na wyższym lub niższym słupcu jest rozpięty, i od stu do stu metrów na ruchomém stawidle spoczywa, które w ten sposób jest urządzone, iż za ujęciem przeciwwagi samo powstaje i łańcuch do równéj z pierwszém słupcem wysokości podnosi. Na tym tedy łańcuchu zawiésza się powóz z podróżnymi. Wyobraziwszy sobie, że pierwsze stawidła czyli dźwignie są pochylone, łańcuch więc za pomocą swego ciężaru, zacząwszy od słupca na którym jest rozpięty, formuje liniję wgiętą, niemal jak łańcuch wiszącego mostu, zacząwszy od słupa, na którym jest zawieszony, a powóz z podróżnymi bez trudności po nim na dół się zsuwa. Ześliznąwszy się więc aż do najniższéj części odcinka pojedyńczego łuku, stanąłby i daléj się nie ruszył, lecz stawidło w ten sposób jest urządzone, iż téj saméj chwili jego przeciwwaga natychmiast na dół spada, stawidło tedy powstaje, i łańcuch tuż za powozem znowu do pierwiastkowéj wysokości podnosi; łańcuch ten formuje przeto nowy odcinek łuku, powóz ześlizguje się do następującego stawidła, na którém się ten sam manewr powtarza i tak daléj aż do końca kolei. Poruszająca zatém siła powstaje w kolei pochyłéj, a przeznaczeniem maszyneryi jest, tę pochyłość ciągle odnawiać, i ciężar po następujących po sobie małych kolejach, coraz daléj popędzać. Wynalazca wykonał już ten plan w Brescie wzdłuż ćwierci mili, a teraz w *Champ de Mars* podobny wykonać zamyśla.

Van Amburgh. »Córka Emira,« drama we dwóch aktach, w któréj van Amburgh przed publicznością w Port St. Martin pokazuje swoje lwy, tygrysy i pantery, jest lichą ramotą, którą wygwizdano w Paryżu; jednakże pogromca zwierząt van Amburgh, obudza w menażeryją swoją tak wielki zapał w publiczności, jakiego opisać niepodobna, i przedstawia taki rodzaj widowiska, który się prawie bajecznością wydaje. Wchodzi on do klatki, w któréj te drapieżne zwierzęta dziko się rzucają, a w okamgnieniu łaszą się wszystkie u nóg jego; jednem spojrzeniem zgania je z miejsca albo ciska niémi o ziemię. Obudziwszy w nich wściekłość i rozdrażniwszy je do najwyższego stopnia, tak, iż rozpalone srogością w okropnych susach wyszczerzają kły i drapieżne roztwiérają pazury, jednem skinieniem gromi je i zmusza do najtkliwszych pieszczot; w okamgnieniu, lwy stają się potulnémi, jak ułaskawione psy liżą nogi jego, własnémi rękami roztwiéra paszczę tygrysom i wtyka w nią swą głowę, na panterach i lampartach, kładzie się tak wygodnie, jakby na posciel z puchu; łaskocze je, poduszcza, i pobudza w nich wszelkiémi sposobami gniew, zazdrość, miłość i we wszystkiém okazuje się być panem, który niémi swym wzrokiem podług upodobania powoduje. Taki jest niemal widok, jaki van Amburgh przedstawia; wszystkich widzów oczy były w niego wlepione, każde serce miotane było strachem i okropnością; w całym teatrze jeden tylko człowiek okazywał się zupełnie spokojnym, a tym był van Amburgh.— Ponieważ wielki ten poskromiciel srogich bestyj, w teraźniejszym czasie powszechne podziwienie obudza, przeto sądzimy, iż nie od rzeczy będzie, gdy czytelnikom naszym o życiu jego niektórych szczegółów udzielimy: Van Amburgh, Amerykanin, miał zaledwo lat dwanaście, gdy myśl poskramiania srogich zwierząt całą duszę jego opanowała. Nic rzekłszy ani słowa nikomu, opuścił dóm rodzicielski, przedziérał się przez lasy jednéj i drugiéj Ameryki, przestawał z dzikiémi plemionami i myśliwcami, uczył się od nich przebiegów pokonywania drapieżnych zwierząt, i w krótkim czasie odwagą i niezłomną wolą przeszedł w téj sztuce wszystkich swych nauczycieli. Po siedmiu latach wrócił znowu do familii, którą w tym

czasie wielorakie klęski spotkały. Wtedy postanowił korzystać z straszliwéj potęgi, jaką sobie zjednał nad drapieżnémi zwierzętami. Udał się znowu w lasy amerykańskie, znosił cierpliwie głód i pragnienie, narażał się na największe niebezpieczeństwa, nakoniec przybył z powrotem, dla pokazania spółobywatelom swoim cudów, jakich jeszcze w życiu swojém nigdy nie widzieli. Wiedział on, że istnieje towarzystwo prowadzące wielki handel dzikiémi zwierzętami z całym światem. Przyszedłszy do niejakiego Tytusa, członka tegoż towarzystwa, oświadczył mu, iż bez wszelkiéj broni odważy się wnijść pomiędzy mnóstwo lwów, tygrysów i lampartów, których wprzódy nigdy nie widział. Z początku nie dawano mu wiary, nareszcie towarzystwo postanowiło doświadczyć go w téj mierze. Sprowadzono kilka lwów, tygrysów i lampartów razem, pomiędzy których młody ten człowiek wszedł śmiałym krokiem. Przez chwilę obawiano się o jego życie, ale usłyszawszy, że on pomiędzy niémi narodową pieśń śpiewa, znikła w widzach wszelka obawa, i wtedy przekonano się jak ten nieustraszony pogromca spojrzeniem i miną lwóm, tygrysom i lampartom uszanowanie nakazywać umiał. Od téj chwili młody ten Amerykanin został nierozdzielnym towarzyszem lwów, tygrysów, panterów i lampartów. Sypiał nawet pomiędzy niémi. Po czterech latach wystąpił z swémi uczniami na teatrze w Nowym Jorku, późniéj w Londynie, a teraz występuje w Paryżu. Wszędzie podziwiano tego pogromcę i zdumiewano się, do jakiego stopnia posłuszeństwa i powolności przyprowadził bestyje nieoswojone.

N o w y L e a r. Przed sąd we Francyi wytoczył się niedawno wypadek następujący: Małżonkowie Derecq trudniący się handlem i dzierżawą cła, uzbierali sobie znaczny majątek. Familija ich składała się z trojga dzieci, którym dali jak najpiękniejsze wychowanie. Gdy dzieci podorastały, rodzice rozdzielili pomiędzy nie znaczną część zarobionego majątku. Najstarszy syn wdał się w spekulacyję dobrami, która się mu zupełnie nie powiodła, i byłby do szczętu się zrujnował, gdyby rodzice nie złożyli za niego znacznéj rękojmi. Starsza córka, pani Lesse, rzuciła się do handlu, ale zbankrutowała; rodzice starali się jéj także zaliczeniem nowéj summy dopomódz. Najmłodsza zaś córka, która poszła za królewskiego budowniczego pana Lefranc, była w prawdzie bogata, ale skąpa i chciwa. Pod pozorem przywrócenia równowagi w podziale majątku pomiędzy nią a starszém jéj rodzeństwem, żądała od ojca, aby jéj odstąpił trzy realności, które w Vaugirard jeszcze mu pozostały. Stary ojciec przychylił się do jéj żądania. Lecz wkrótce poznał, jaką nagrodę za tę nierozsądną miłość odebrał. Zaraz po podpisaniu dokumentu, przybył woźny z oświadczeniem, aby rodzice z włości, w któréj już przez lat 44 mieszkali, a którą teraz w darowiźnie swéj córce odstąpili, niezwłocznie się wynieśli. Rodzice proszą, aby nie ruszano ich z miejsca, odwołując się do sądu, lecz dokument w ten sposób jest ułożony, iż dla nich niepomyślny wyrok wypada. Chorowici i w podeszłym wieku przymuszeni są opuścić pomieszkanie, do którego się przyzwyczaili. Wyprowadzają się zatém do Thommery, małéj włości pod Fontainebleau. Nie zostało im nic więcéj jak tylko mała kwota w papierach i srebro stołowe, ostatni zabytek dawnego ich obywatelskiego mienia. Sprzedawszy jedno i drugie żyli z tego kapitału oboje przez lat pięć bardzo skromnie. Gdy się to źródło wyczerpało, wydali na siebie kilka małych wexlów. Nadszedł termin wypłaty, nie było pieniędzy w domu; starzec oburzył się myślą, że nie jest w stanie uiścić się w swém przyrzeczeniu, postanowił przeto chwycić się ostatniego sposobu. Przybywa do Paryża — Pani Lefranc jest w Neuilly; starzec idzie do Neuilly — Pani Lefranc wsiada właśnie do powozu dla użycia rannéj przejazdki; lokaj woła na starca, aby się umknął z drogi, a powóz spieszno odjeżdża. Starzec udaje się do przedpokoju i czeka pośród zuchwałych i drwiących z niego służalców. Córka przybywa z powrotem, ojciec zastąpiwszy jéj drogę, błaga, lecz zamiast wszelkiéj odpowiedzi, za drzwi wyrzuconym zostaje. Nieszczęsny wraca z Neuilly do Paryża i zamknąwszy się w pokoju, pisze następujący list do niewdzięcznéj swéj córki: »Jeżeli jutro do południa mnie nie wspomożesz, pamiętaj, iż mnie nieczułość twoja do rozpaczy przywiedzie!« — Pani Lefranc przeczytawszy list, który ojciec właśnie zrosił swojémi łzami, zaczyna się śmiać z téj niewczesnéj pogróżki. — Uderza wyznaczona godzina, pan Derecq nieotrzymawszy z nikąd pomocy, nabija pistolet i życie sobie odbiéra. Ta katastrofa przebudza panią Lefranc z obojętności, ale nie z powodu ocknionego w niéj dziecięcego uczucia, lecz z obawy, aby się sąd nie wdał w tę sprawę. Dowiedziała się bowiem, iż ojciec przed odebraniem sobie życia podał na nią skargę do sądu. — Dla zabieżenia więc nieprzyjemnym skutkom, pospiesza do Thommery. Z otwartémi rękoma przyjmuje ją matka. Ta zacna kobiéta nieposiada się z radości, widząc, iż w córce, któréj już od lat pięciu nie widziała, czułość się ocknęła. Biédna, oszukana matko! Pani Lefranc gra komedyję z tobą. Przyrzeka ona swojéj matce roczną pensyję czterysta franków, zabiéra z sobą wszystkie papiéry ojca i odjéżdża. — Nadchodzi zima, nié ma pensyi, pani Derecq żyje tylko z jałmużny, któréj włościanie w Thommery jéj udziélają. Nakoniec w miesiącu kwietniu, postanawia odwidzić swoję córkę i przypomnieć jéj wyznaczoną pensyję. W nędznéj, lekkiéj odzieży, ostatniéj, która jéj pozostała, idzie piesz do Neuilly i błaga o litość swojéj córki. — Nadaremne zabiegi, córka głucha na wszelkie przedstawienia. Nie będziemy tu przytaczać jéj odpowiedzi. Podobnież i druga prośba pełznie bez skutku. Nareszcie biédna wdowa zanosi przeciw swoim dzieciom do sądu skargę, (co już dawno uczynić była powinna), a sąd skazuje dzieci na płacenie matce rocznéj pensyi 1,700 franków.

N a p o l e o n w m a s c e. Napoleon postanowił pewnego dnia zrobić sobie rozrywkę i poszedł na bal w masce. Z początku wiodło się mu pomyślnie; wmieszał się pomiędzy ciżbę i był bardzo zadowolony, że go nic poznano. Atoli wkrótce cała ciżba przed nim się rozstąpiła, a Napoleon postrzegłszy, że pomimo zamaskowania został poznanym, pospieszył czém prędzéj do garderoby, umaskował się inaczéj, i znowu na bal powrócił. Lecz skoro wszedł na salę, publiczność ujrzawszy go, znowu przed nim się rozstąpiła. Napoleon, sądząc, że jest zdradzonym, ofuknął się na swego pokojowca. W tem jeden z adjutantów, który wiedział o tajemnicy, zbliżywszy się doń, rzekł mu z cicha: »*Sire*, jeżeli chcesz być niepoznanym, spuśćże na dół ramiona, bo skoro je w tył założysz, słowo *l'Empereur!* od ust do ust przechodzi.«

Dołącza się: Wiersz na cześć przybycia Jego Cesarzewiczowskiéj Mości Arcyksięcia FRANCISZKA KAROLA, przez A. Rościszewskiego.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*